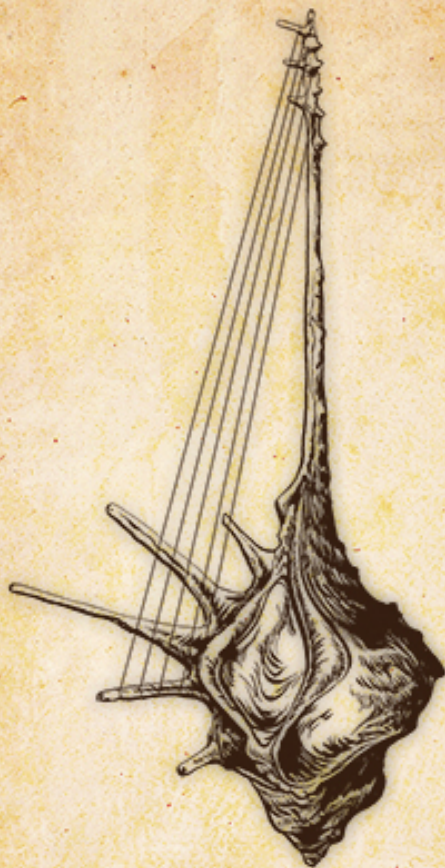


ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·

·I·

OCZEKIWANIE

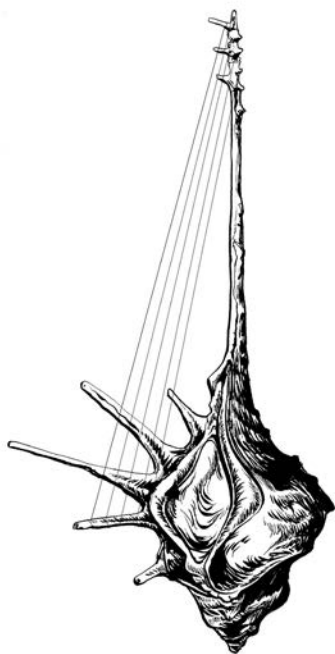
ANNA BORKOWSKA

Garlingawi
WYSPA SZCZĘŚLIWA

ANNA BORKOWSKA

Gar Ingawi

WYSPA SZCZĘŚLIWA



·T·O·M·
·I·
OCZEKIWANIE

WYDAWNICTWO

ZONA ZERO

Okładka, grafika na okładce i portret Autorki

Monika Lipiec

Redakcja

Martyna Pośluszna

Dyrektor projektów wydawniczych

Maciej Marchewicz

Skład i łamanie

Point Plus

ISBN 978-83-947599-0-2

Copyright © by Anna Borkowska

© Copyright for Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca

Zona Zero Sp. z o.o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

Tel. 22 836 54 44, 877 37 35

Faks 22 877 37 34

e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	Wyspa szczęśliwa	7
ROZDZIAŁ II	Pogrzeb Taguna	10
ROZDZIAŁ III	Książę ludu	16
ROZDZIAŁ IV	Wygnańcy	22
ROZDZIAŁ V	Barwy i skrzydła	28
ROZDZIAŁ VI	Wyprawa do Skał Łowcy	32
ROZDZIAŁ VII	Dżauri naucza	42
ROZDZIAŁ VIII	Na pustym placu	49
ROZDZIAŁ IX	Słowo dane samemu sobie	55
ROZDZIAŁ X	Brzoza	61
ROZDZIAŁ XI	Prafo potrójnej fali	68
ROZDZIAŁ XII	Okrężna droga	78
ROZDZIAŁ XIII	Nahidene	88
ROZDZIAŁ XIV	Nauka rzemiosła	102
ROZDZIAŁ XV	Los Delfina	113
ROZDZIAŁ XVI	Skarga zawieszona	126
ROZDZIAŁ XVII	Bardowie	134
ROZDZIAŁ XVIII	Dwaj przewodnicy	145
ROZDZIAŁ XIX	Wątpliwości	159
ROZDZIAŁ XX	W pieczarach	169
ROZDZIAŁ XXI	Pewność	180

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyspa szczęśliwa

Na Wyspie Szczęśliwej nikt się niczemu zanadto nie dziwił: na tym między innymi polegało szczęście. Stara pieśń, pochodząca podobno z czasów – może legendarnych – sprzed osiedlenia się Ludu na Wyspie, mówiła:

*Nic się nie zdarzy
aż do Powrotu
Nic się nowego nie zdarzy
aż do Powrotu
Nic godnego uwagi
aż do Powrotu*

Nie dziwiono się więc niczemu, nawet istnieniu nieszczęśliwych. Szczęście było tylko formą czekania, przypuszczalnie najznośniejszą, ale na pewno nie jedyną. Jeżeli ktoś wybierał inną, była to tylko jego sprawa i czasem także (w zależności od rodzaju nieszczęścia) jego najbliższego otoczenia; ale w każdym razie nic dziwnego. Trochę trudniej, jeżeli ktoś nie wybierał żadnej; ale ponieważ to dotyczyło tylko Obcych, po namyśle i temu przestawano się dziwić. Rzadko kto zresztą z dorosłych w ogóle o tym myślał.

Obcy bywali różni, więksi i mniejsi. Zjawiali się na Wyspie bez zapowiedzi i znikali bez wytłumaczenia: może dlatego, że ich

o motywy postępowania nie pytano. Jedni handlowali, inni zawijali do portów Wyspy po drodze, po to tylko, żeby odświeżyć swoje zapasy, jeszcze inni sprowadzali się z garnizonami, wydawali zarządzenia i budowali coś, co w swoich różnych językach określali jako fortalicje albo horodyszczca, albo bazy militarne. Każdy wiedział, że po jakimś czasie mury tych budowli pokryją się mchem, metale przestaną błyszczeć, a Obcy, którzy je zamieszkiwali, odejdą śladem poprzednich w niepamięć zwaną historią. Tak było zawsze: pozostawało Oczekiwanie. A że Or powracał na ogół nie częściej niż co cztery lub pięć pokoleń, zastawał czasem na Wyspie już tylko ślady kolejnego imperium Obcych, którego początków nie oglądał.

Or więc powracał dosyć rzadko i chyba nie zawsze ten sam, ale to znów była wyłącznie jego sprawa. Pojawiał się na wschodnim brzegu i szedł powoli na zachód. W samym środku Wyspy, na skrzyżowaniu dróg, przystawał zwykle i zwracał się na północ, ku Górze, jak gdyby już tym razem zamierzał wejść na nią i pozostać; potem jednak podejmował znowu zwykłą drogę. Na zachodnim brzegu wchodził we mgły i znikał. To Przejście trwało kilka tygodni i wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie, wszystko, co było godne uwagi, działo się w tym czasie. Potem pozostawało Oczekiwanie.

Droga Ora był to szeroki gościniec, wykładany nieregularnymi, ogromnymi płytami białego kamienia, którego na Wyspie było pełno. Podobne płyty ustawiano pionowo wzdłuż drogi na pamiątkę szczególnie ważnych wydarzeń, które miały miejsce podczas Przejścia. Po obu stronach drogi rosły brzozy, częściowo dlatego, że w ogóle było ich tam dużo, a częściowo sadzone umyślnie, po to, by ich szept uskrzydlał towarzyszące każdemu Przejściu milczenie. Na wschodnim brzegu, w miejscu gdzie droga się zaczynała, znajdował się plac; nigdy tam nie było zupełnie pusto, a bardzo

często bywało tłoczno. Była to jakby stolica Wyspy: tu odbywały się sądy, rady i wszelkie uroczystości, tu ogłaszano prawa i budowano stopy pogrzebowe. A z podpaleniem każdego stosu zwlekano przez jedną pełną dobę, aby w ten sposób dać zmarłemu jeszcze ostatnią szansę doczekania Powrotu.

Dookoła Wyspy wichura podnosiła bure morze albo mgła otulała siną, zamarłą toń. Poza te mgły, poza zwałniony horyzont wzrok Ludu nigdy nie sięgał. Za czasów imperium Fehine, kiedy przez kilka wieków mieszkańcy lądów i mórz spełniali na wyścigi rozkazy władcy pajęczu zwinnego ludu, roznoszone przez nierównanej szybkości okręty – do świadomości mieszkańców Wyspy dotarło to tylko, że tych giętkich, wysmukłych Obcych, którzy oprzędli ich wybrzeża siecią portów, trzeba było nazywać z szacunkiem „ogai”. Nic więcej. Ale zarazem w tej właśnie sprawie miała się zaznaczyć niezwykła trwałość pamięci Ludu, obejmująca to wszystko, co jakimś cudem zdołało wtargnąć do skarbca tejże pamięci. Bo imperium Fehine, jak każde inne, upadło po jakimś czasie, a pajęczu wysmukły lud, zachowawszy swoje wrodzone żeglarskie zdolności, stał się z wolna rozproszonym plemieniem obieżyświatów, tłumaczy i handlarzy. Mówili oni wszystkimi językami i wszędzie mieli osady, ale ojczyznę już chyba tylko w najstarszej swojej kolonii, na Wielkim Archipelagu; znali i zatrudniali ich wszyscy, ale nikt ich specjalnie nie szanował. I tylko na Wyspie Szczęśliwej (oni zresztą nazywali ją Wyspą Mgieł) nadal spokojnie określano ich dawnym zaszczytnym tytułem. Z „Feinu-ogai” skrócił się on zresztą później na „Fingai” i tak w tym jednym słowie obojętnego Ludu trwał nadal ślad świetności... której istnienia ten Lud w ogóle nie zauważył.

ROZDZIAŁ DRUGI

Pogrzeb Taguna

Wiadomość o śmierci Taguna Imanu rozeszła się po Wyspie tak szybko, jakby wiosenna mgła rozniosła ją sama bez pomocy gońców, zwłaszcza że tego dnia potrzebowali oni wyjątkowo dużo czasu, żeby w wilgotnym powietrzu rozpalić należycie swoje pochodnie. Tagun był wśród Ludu ostatnim pamiętającym poprzednie przejście Ora; a jakkolwiek Or mógł, oczywiście, przybyć w każdym terminie, mieszkańcy Wyspy przywykli uważać, że koniec pokolenia, które go już widziało, jest jakby hasłem do rozpoczęcia właściwego oczekiwania.

Tagun umarł z wieczora, a już o wschodzie słońca – jeśli wolno nazywać wschodem słońca ten szary tuman, spod którego ledwo o kilka kroków można było dostrzec skraj prawie nieruchomej, czarnej wody – już więc o wschodzie słońca pierwsze większe gromady zaczęły się schodzić i zbierać na placu. Dejno Imanu, przełożony Sług Ognia, ponieważ z racji tak swojego urzędu, jak i bliskiego pokrewieństwa ze zmarłym był obecny przy jego zgonie, nadszedł jednak dopiero koło południa, niosąc gliniany garnek z żarem wziętym z paleniska domu Taguna. Stanął z nim obok stosu, który jego podwładni kończyli właśnie wznosić nieco na lewo od postumentu znicza.

Palenisko znicza było czyste, od lat zmywane przez deszcze; ale i na nim już ustawiono szkielet ogniska, zbudowany z drewnie-

nek wyrzuconych przez morze. Ogładzone przez wodę jak kości, starannie wysuszone, czekały teraz na płomień. Dejno postawił garnek u stóp postumentu: cieniutka smużka drgającego powietrza dawała znać, że wewnątrz znajduje się moc, gotowa w każdej chwili zapłonąć zniczem oczekiwania. Starzec wpatrzył się ponad paleniskiem w ciemny skraj uciszonej wody, ledwo widoczny ze środka placu – i czekał.

– Tagun Imanu, Tagun Imanu... alawi, Tagun Imanu – zaczęto wołać we mgle. „Alawi” mogło znaczyć i „żegnaj”, i „witaj”, było to najuroczystsze pozdrowienie, którym tylko przy takich pogrzebach zastępowano zwykłe: Na'ngawaz (idź szczęśliwie).

Głosy umilkły; od strony lądu słychać już było kroki gromady idącej z ciałem. Z kilku punktów placu dobiegły dźwięki muzyki: szalán, sześć strun napiętych na pudle z kory brzozonej, był od niepamiętnych czasów ulubionym instrumentem Ludu. Gdy jeden grajek uderzał dłonią płasko we wszystkie sześć strun naraz, wybijając rytm, drugi na swoim instrumencie prowadził podstawową, prostą melodię, trzeci zaś improwizował skomplikowane wariacje, których w pamięci nie utrwalano, gdyż wartość ich polegała na tym właśnie, żeby były za każdym razem nowe. Kilka takich trójek, niewidocznych we mgle, rozpoczęło Pieśń Pożegnania i przy jej dźwiękach członkowie rodu Imanu wzniesli na plac ciało swego patriarchy.

Tagun Imanu nie miał jednak czekać na stosie aż do następnego dnia. On oglądał już przejście Ora, a chociaż miał wtedy niecałe trzy lata, nikt nie wątpił, że je oglądał naprawdę: wystarczyło przecież na niego spojrzeć. Ponieważ więc jego stos pogrzebowy oznaczał początek nowej i pełnej nadziei fazy oczekiwania, obrzędowi towarzyszył pewien pośpiech i napięcie, i brak im było żałobnej zadumy. Obcy, który by znalazł się na placu, gdyby mu mgła

przesłoniła stos, prawdopodobnie nie zdołałby się zorientować, jakiego to rodzaju uroczystości ogląda. Żałobnicy już zgromadzeni za nic by się nie zgodzili czekać aż do wieczora na przyjście mieszkańców zachodnich wybrzeży Wyspy. Gdy tylko ciało spoczęło na swoim miejscu, Dejno odwrócił oczy od morza, szybko podniósł oburącz z ziemi garnek z żarem i wysypał całą jego zawartość u podnóża stosu, zanim jeszcze ci, którzy ciało wnieśli, zdążyli zeskoczyć w dół.

Oczywiście powinien był poczekać, bo chociaż drewno we mgle zajmowało się z wolna i nikomu z tego powodu nie groziło nawet osmalenie, Tagun Imanu był przecież kimś, wobec kogo nawet w tak napiętej atmosferze należało do końca zachować właściwe maniery. Nikt jednak spośród tych, którzy byli dość blisko, by ten niestosowny postępek starca zauważyć, nie dziwił się jego niecierplivej udręce. Dejno Imanu był zaledwie o trzy lata młodszy od Taguna i był po nim najstarszy na Wyspie: jego szanse doczekania powrotu Ora były więc najmniejsze, a całą jego chwałą – kiedy spocznie już wkrótce na swym własnym stosie i będzie przez jedną dobę czekał na płomienie – okaże się ostatecznie to tylko, że dał życie tym, którzy doczekają: oni sami albo ich potomstwo.

Stos płonął. Stojący najbliżej musieli się cofnąć i utworzyła się dość duża pusta przestrzeń. Lekki wiatr zaczął poruszać tumanami mgły, które to napływały na plac, zakrywając go tym szczelniej, to znowu ustępowały i odsłaniały na chwilę szerokie, dalekie widoki – na milczący, gęsty tłum, na las, gdzie na gałęziach brzoź już nabrzmiewały pąki, czasem – najrzadziej – na ciemne fale, podnoszące się teraz powoli, jak gdyby morzu ktoś zrzucił ciężar z piersi.

Znowu gdzieś w tłumie zadźwięczał szalán. I znowu Dejno Imanu, zamiast czekać, aż się stos dopali, posunął się gwałtownie do przodu, tak blisko, jak żar pozwalał mu podejść, i uchwyciłszy

jeden koniec długiej laski, którą mu podano, wsunął drugi między płonące bierwiona. Z tą pochodnią cofnął się do postumentu znicza i równie szybko, niedokładnie, niecierpliwie zaczął ze wszystkich stron podpalać białe drewnienka. Gdy się zajęły, odrzucił łaskę, padł twarzą do ziemi i rozpłakał się.

Ród Imanu należał w zasadzie do Szczęśliwych, ale udręka starca była zrozumiała i nikt się jej nie dziwił. Teraz, gdy już znicz płonął, nie można było dłużej powstrzymywać pieśni. Jednomyślnie (Lud przywykł do porozumiewania się bez wielu słów) odstąpiono od zwykłej kolejności i płaczowi Dejna zawtórowała najpierw Pieśń Nieszczęśliwych:

*O jak się dłużyć, dłużyć dni!
Wracają z pustym naczyniem
nie zaczerpnąwszy wody.
O jak się dłużyć, dłużyć dni!
Sieją piasek na skale,
wiatr im go w oczy miecie.
O jak się dłużyć, dłużyć dni!
Robak je w pąku przegryza,
spadają, wiosny nie widzą.
O jak się dłużyć, dłużyć dni!
Mróz je nad ranem ścina,
martwe zwisają w południe.
O jak się dłużyć, dłużyć dni!*

Gdybyż nie ta zmiana kolejności!

Gdyby to na tej pieśni skończono, Lud byłby się rozszedł w spokoju zawierającym wprawdzie sporo przygnębienia, ale przynajmniej wykluczającym napięcie i nieusprawiedliwione niczym

przekonanie, że już, że koniecznie zaraz. Ale od niej właśnie zaczęto i cały jej wpływ został zatarty przez dalszy ciąg obrzędu. Kiedy przebrzmiała, Agwen Imanu, najmłodszy wnuk zmarłego, położył ręce na ramionach swoich dzieci i popchnął je lekko do przodu. Piętnastoletnia Nulani i dwunastoletni Tagun wyszli na środek placu trzymając się za ręce. Szli lekko, niemal tanecznym krokiem, jako ci, którym przysługiwała największa nadzieja doczekania. Doszli wreszcie do leżącego u podstawy paleniska starca; mieli mu zadać pytanie, którego nikt by się nie ośmielił zadać jego zmarłemu bratu. Jakiś pojedynczy szalán odezwał się, poddając im ton.

– Dejno ogai (czcigodny Dejno) – zaśpiewały dzieci – Dejno ogai, powiedz nam, jak on wygląda?

Któryś spośród Sług Ognia – chyba Zanga Ulawe – pomógł mu się podnieść; inny podał odrzuconą laskę. Wsparci na niej lewą ręką, Dejno wyciągnął prawą ku pytającym.

– Będziecie to wiedzieli, gdy go zobaczycie – odśpiewał.

– Dejno ogai, Dejno ogai – płynęło ku niemu następne pytanie – powiedz nam, co on uczyni?

– Przekonacie się, gdy przyjdzie!

– Dejno ogai, Dejno ogai... kiedy on wróci?

Starzec podniósł rękę płasko nad ich głowami:

– Błogosławię wam, byście go doczekali!

I to miało być zaśpiewane na tę samą melodię, ale zostało wykrzyknięte, jak krzyczy do swoich najbliższych ten, kto czuje, że już głosu nie zdoła wydobyć: nieskładnie, chrapliwie, zbyt ostro. Kto wie – zważywszy muzykalność Ludu – czy ten dysonans przez to, że zaszedł w momencie, w którym najbardziej pożądana była nieskazitelna harmonia, nie podrażnił wrażliwości słuchaczy bardziej jeszcze, niż wszystkie dotąd popełnione podczas tego obrzędu niestosowności. W każdym razie należało go zatrzeć szybko

i Ungana Nile, księżę Ludu, dał znak najbliższej trójce muzykantów. Pozostawała do odśpiewania Pieśń Szczęśliwych:

Cieszcie się świtem!
Kiedy dzień wypływa na powierzchnię,
strząsa wodę z włosów,
mówi: A może dzisiaj?
Cieszcie się świtem!
Cieszcie się południem!
Kiedy dzień otwiera ramiona,
rozgląda się dookoła,
mówi: Kto wie?
Cieszcie się południem!
Cieszcie się wieczorem!
Kiedy dzień przysiada zmęczony,
wyciąga kubek,
mówi: A może jutro?
Cieszcie się wieczorem!
Cieszcie się nocą!
Kiedy dzień nurkuje w głębinę,
uśmiecha się, bo już wie.
Mówi: Na pewno.
Cieszcie się nocą!

I właśnie w tym momencie odezwał się z morza dźwięk rogu. To oczywiście musieli być jacyś Obcy i byli jeszcze daleko, a Lud nie miał już na wybrzeżu nic więcej do roboty; gdyby się wtedy zaczęto rozchodzić, Obcy przybyliby w godzinę później na plac już pusty. Ale nie odszedł nikt.

ROZDZIAŁ TRZECI

Książę ludu

Rodzina Nile sprawowała rządy nad Wyspą od kilku Powrotów, odkąd jeden z jej członków ożenił się z córką dogasającego rodu poprzednich książąt. Jak na pojęcia Ludu, było to jeszcze dość krótko, coś około jedenastu pokoleń; to jednak nie znaczy, by ktokolwiek poważnie próbował kwestionować prawa rodziny Nile do władzy albo zwłaszcza dowodzić czyichś innych praw. Tego rodzaju rzeczy nikt na ogół na Wyspie nie robił, a to przez prosty brak zainteresowania. Książę i jego najbliżsi musieli z konieczności najwięcej mieć do czynienia z Obcymi, co się mało komu uśmiechało; musieli także dużo krążyć po Wyspie, zaniedbując tym samym codzienną zwykłą pracę, a na to niewielu z Ludu było stać. Opowiadano przy tym, że kolejne pokolenia panującego rodu przekazują sobie jakąś tajemną wiedzę, niesłychanie trudną do opanowania, i to z kolei odstraszało tych, którzy by może i chcieli spróbować współzawodnictwa, ale nie czuli się na siłach sprostać wygórowanym wymaganiom. Lud Wyspy, jak wiele prymitywnych plemion, bał się bardzo ryzykować śmieszność. Wreszcie – co było najważniejsze – nawet i te słabe i nieskuteczne pokusy sięgania po władzę, na jakie byli narażeni członkowie Ludu, nasilały się i słabły okresowo, przy czym szczyt przypadał na drugie pokolenie po każdym kolejnym Przejściu, a potem dość szybko następował prawie zupełny zanik. Od niepamiętnych bowiem cza-

sów księżę Wyspy był jedyną osobą, która nigdy nie uczestniczyła w Przejściu Ora. Tygodnie tego Przejścia spędzał on samotnie w swoim dworze na północnym stoku Góry, czekając, czy też Or już tym razem sam na zawsze obejmie Wyspę we władanie, czy jeszcze nie. Nikt dobrze nie wiedział, co w takim wypadku miałby do zrobienia księżę: może była to jedna z rzeczy wchodzących w skład tajemnej wiedzy władców. W każdym razie w miarę jak doczekanie Powrotu stawało się coraz realniejsze, topniała szybko (i tak zresztą niewielka) garstka tych, którzy by mieli ochotę wyrzec się udziału w Przejściu dla rzeczy tak ostatecznie nieciekawej jak władza. Także i rozrywki dostępne dla księżąt (jak polowanie, któremu oni jedni oddawali się nie z potrzeby, ale dla zabawy) nie stanowiły dość silnej pokusy.

Ungana objął rządy po ojcu, Inu Nile, na pięć lat przed śmiercią starego Taguna Imanu, a więc ze świadomością, że na jego własnie panowanie musi przypaść nasilenie ewentualnych pretensji do władzy. Nie wydaje się, żeby to wpłynęło w jakimkolwiek stopniu na jego postawę, na przykład czyniąc go agresywnym obrońcą posiadanego skarbu. Ungana był wtedy w pełni sił, odznaczał się spokojem i konsekwencją. Był już wdowcem, a po młodo zmarłej żonie pozostał mu tylko jeden syn, Inutu Nile, następca. Sam Ungana próbował czasem motywy swojego postępowania wyprowadzić z troski, jaką otaczał jedynaka właśnie dlatego, że był to jedynak, i z chęci przygotowania mu odpowiedniego dziedzictwa. Było to jednak złudzenie, w którym nawet on sam nie trwał zbyt długo.

Któż mógłby prześledzić bieg tajemnej wiedzy władców i określić, ile jej pokoleń złożyło się na Unganę?

Dwór z belek świerkowych nasyconych morską solą odziedziczyli księżęta Nile po swoich poprzednikach, księżętach Ganumi.

Właściwie nie był to już ten sam dwór, bo za czasów drugiego księcia Nile spłonął i został odbudowany; ale ponieważ odbudowa polegała oczywiście na dokładnym w każdym calu powtórzeniu poprzedniej konstrukcji, siedziba Ungany była nadal tą samą, a przynajmniej taką samą budowlą, w jakiej od niepamiętnych dynastii rezydowali władcy Ludu. Od zwykłych domów różniła się budulcem i rozmiarem, ale jeszcze bardziej urządzeniem wnętrza, tych zwłaszcza komór, do których nie mieli na ogół wstępu poddani. Gdyby mieli, nie potrafiliby odgadnąć, u których to Obcych właściwie się znajdują, gdyż było tam zgromadzone wszystko, co ciekawego lub pożytecznego przynieśli w ciągu wieków na Wyspę jej kolejni jednodniowi okupanci.

Inutu, po powrocie z zabaw z innymi dziećmi, mawiał:

– Kiedy ja obejmę rządy, powyrzucam to wszystko.

Ungana potakiwał z uśmiechem:

– Zrobisz, jak zechcesz, synku.

Pamiętał, że i on w tym wieku planował to samo.

Inutu wzdychał:

– Obyż za mojego panowania przyszedł Or! Ja bym nie został w domu, ale bym wyszedł na drogę i póty bym go błagał, ażby się zgodził zamieszkać już na zawsze na Wyspie. Kto wie, może on właśnie na to czeka?

Ungana odpowiadał:

– To całkiem prawdopodobne.

Każdy władca w dzieciństwie zaczynał od tego, póki się nie zętknął boleśnie z biernością Ludu i z jego obojętnością na wszystko poza Powrotem. Nic nie można było z nimi zdziałać: nic. Śpiewali tęskne pieśni i całego szczęścia oczekiwali z zewnątrz, a tego, które było w zasięgu ich ręki, nawet nie próbowali dotknąć. Wyciszeni jak ktoś, kto nasłuchuje bezustannie, zachowywali tylko część

uwagi dla spraw codziennych, a więc najłatwiej im było trzymać się mechanicznie starych, wdrożonych kolein, którymi szło się już bez zastanowienia. Gdyby z pomysłem jakiegokolwiek zmiany w ich sposobie życia wystąpił ktoś im równy, na pewno by go wyśmiali; jeśli wysuwał go księżę, potakiwali z szacunkiem i zaraz znowu zwracali oczy na wschód. Trudno było stwierdzić, czy w ogóle słuchali. Rozpłomieniali się tylko, jeśli ktoś próbował zlekceważyć ich miłość i tęsknotę.

Każdy władca szybko się uczył przeklinać w duchu tę tęsknotę, przeklinać ją z całą goryczą bezsilności. I musiało tak być od początku, skoro w najstarszych nawet legendach i pieśniach nie było wzmianki o tym, żeby którykolwiek księżę uczestniczył w pochodzie Ora. Z drugiej strony nikomu z Ludu nie przychodziło nigdy do głowy, żeby ten zwyczaj mógł być przejawem wrogości albo choćby niechęci władców do Powrotów; uważano go tylko za tradycyjny ciężar ich urzędu, godzien litości, ale nie potępienia. Stąd wniosek, że władcy mieli dość rozumu, żeby swój pogląd na sprawę starannie ukrywać.

A przecież i oni należeli do Ludu, wychowywali się w jego pojęciach i na jego pieśniach – tych pieśni sami zresztą sporo ułożyli – i mieliby niewiele mniejsze trudności niż inni mieszkańcy Wyspy, gdyby próbowali choćby tylko wymyślić inny sposób życia. Cała rodzina księcia, jego rodzeństwo i jego potomstwo rosło i żyło w niczym niezamąconej miłości do rodzinnych tradycji i do Powrotów. Ren, żona Ungany, umierając cierpiała bardziej nad tym, że nie doczeka już Ora, niż nad odejściem od męża i synka. Nawet Ungana nigdy nie próbował przekazać jej niczego ze swojej gorzkiej wiedzy.

Pierwszych kropli tej goryczy kosztowało się jeszcze bezwiednie w dzieciństwie. Ungana, kiedy patrzył na chmurną buzię

małego Inutu, wspominał łatwo, co on sam czuł kiedyś, przechodząc z zapełnionych dziwami, pstrych komór książęcego dworu do domów swoich rówieśników i towarzyszy zabaw. Tu królowała niepodzielnie biel płócien i prostych kamiennych sprzętów i była w tym jakaś szlachetna muzyka, jak gdyby ktoś przeszedł z pełnego niezrozumiałych, drażniących hałasów targowiska portowego Obcych na cichą łąkę, na której gra szalán... Wtedy jeszcze nie wiedział nic o ojcu, ale jakieś napięcie już wyczuwał i jego własna tęsknota do Ora nie była tą bezproblemową miłością, która przepełniała innych. Pełna była rozpaczliwych obietnic wierności za wszelką cenę, chociaż nikt mu nigdy nie powiedział, że jakiegokolwiek przeszkody mogłyby tej wierności stanąć na drodze. Czuł, że ojciec go obserwuje, i myślał, że to płynie z troski albo z potępienia. Potem, piętnastolatka, dopuścił go Inu Nile zgodnie z tradycją do współrzędów i Ungana tajemnie bolał nad tym, że ojciec (nieskrępowany w tej sprawie żadnym zwyczajem) wybrał spośród swych czterech synów jego właśnie, najgorszego, bo tak już zmęczonego rozpaczliwymi wysiłkami dostrojenia się do ogólnego tonu, że zdarzało mu się nawet myśleć: „Gdybyż nie było już więcej żadnych Powrotów!”. Świadomość, że to właśnie o to ojcu chodziło, przyszała jak wyzwolenie. Odtąd przez kilkanaście lat, do śmierci ojca, prawie całe dni spędzali razem, a Lud mówił: „Inu Nile znalazł godnego następcę, który na pewno zrozumie wszystkie te dziwne sekrety”. I dodawano: „Z pokolenia na pokolenie przekazują sobie, jak nieść ten ciężar, który na nich włożono”.

Inutu miał w chwili śmierci starego Taguna lat trzynaście, wkraczał więc w okres najtrudniejszy, pełen wewnętrznych walk i napięć, które w dodatku musiał przewalczyć i znieść samotnie. Nie byłoby to jeszcze dla Ungany powodem do szczególnego z troskania, gdyby nie nadchodzące wydarzenia, których bliskości

on jeden na Wyspie był świadom, a których nasilenie musiało wypaść właśnie na najtrudniejsze lata dojrzwania małego Inutu; i nie można było przewidzieć, jaki wpływ na niego będą miały. Któż zdoła splatać linę dziejów tak, by się żadne włókno nie wymknęło? Wiele, wiele włókien, przygotowanych tajemną wiedzą i pracą poprzedników Ungany – i jego własną – miało się teraz nagle spleść i ujawnić światu; i już nie było można czekać z zadzierzgnięciem wężła, aż się rozjaśnią zrozumieniem oczy małego Inutu...



ANNA BORKOWSKA

(S. MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB)

polska mniszka klauzurowa, benedyktyнка, historyk i znawczyni życia zakonnego, doctor honoris causa KUL (2011), autorka wielu książek.

Kiedy J.R.R. Tolkien pracował nad *Władcami pierścienia*, hitlerowscy barbarzyńcy stali u bram Albionu. W tolkienowską narrację wkradła się niepewność jutra cywilizacji, z którą identyfikował się Profesor.

Gdy Anna Borkowska pisała *Gar'Ingawi*, Polskę nakryła noc stanu wojennego. A jednak spod jej pióra wyszła opowieść, w której lud zamieszkujący tytułową wyspę wyczekuje z nadzieją na powrót Dobra – tajemniczego Ora – Jasnego Brata. I ten powrót rzeczywiście następuje, a nadzieja staje się jednym z bohaterów wyspiarskiej opowieści o *Gar'Ingawi*.

W „Twarzach ojców pustyni“, autorstwa Anny Borkowskiej, opisujących pierwszych mnichów chrześcijańskich, spotkamy abba Ora.

Powiadano, że abba Or ani nie skłamał nigdy, ani nie przysiągł, ani nikomu nie złorzeczył, ani w ogóle nie mówił bez potrzeby. Czy zbieżność imion z najważniejszą postacią *Gar'Ingawi* – Jasnym Bratem – Orem jest przypadkowa?